ROZMAITOŚCI WARSZAWSKIE

Pismo dodatkowe do Gazety Korrespondenta Warszawskiego.

we ŚRODĘ
D. 15 Czerwca.
1825.

Ner: 24

Varietas delectat.

I.

RYSY CHARAKTERYSTYCZNE ŻYCIA INDIAN.

W pamiętnikach pobytu J. D. *Hunter* pomiędzy dzikiemi ludźmi w Północnéy Ameryce, znayduie się interessuiący opis charakteru i obyczaiów pokoleń Indyiskich, mieszkaiących na zachód rzeki Missisipi.

Bieli osadnicy Europeyscy na granicach krainy Amerykańskiéy, obchodzą się po przyiacielsku z Indyanami, unikaiąc zemsty którą ci za każdą obrazą wywierać zwykli.

Indyanie przechodząc przez osady Europeyskie, wstępuią do znaiomych, nazywaią ich swoiemi przyiaciołami, powtarzaiąc: iż lubo oddaleni maią ich zawsze wswoiéy pamięci; pod iednym cieniem drzewa palą z niemi lulkę iako znak zgody, a na wiosnę po iedney i tey samey ściesze w ich towarzystwie przechadzaią się.

Gdyby Indianin dom starego przyiaciela swego ominął, pomyslności mu nie życzył i o iego powodzeniu się niedowiedział; rozumiałby, iż tenże przyiaciel ma słuszną przyczynę niechęci ku niemu i powątpiewania o iego przyiaźni.— Indianie zwykli przynosić swym białym przyiaciołom w podarunku, zwierzynę lub inne świeże mięso, na znak swéy życzliwości; nawet i kobiety Europeyskie często się zniemi znoszą, maiąc iuż dostateczne dowody przyiacielskiego ich sposobu myślenia. Jeżeli wstępuiący Indianin iest dawny znaiomy, a sam gospodarz znayduie się w domu, wchodzi poufale i bez ceremonii; kiedy zaś męża niezastanie, zostawia przed drzwiami swóy nóż długi, toporek, zdeymuie z siebię strzelbę, a ukrywszy swą broń pod sukniami, wtenczas dopiéro wchodzi do domu, wita gospodynią uprzeymie, dobywa lulki, pyta się o powodzenie całéy rodziny, i zwykle prosi o tytoń, co iest niezawodną oznaką przyiacielskiego z strony iego zaufania. Gospodyni zaś, częstuie gościa iadłem; przy takich więc stosunkach, żyią z niemi biali, tak kobiety iak i mężczyzni w towarzystwie i przyiaźni.

W rzeczy saméy, znayduiemy wiele rysów charakterystycznych u Indian, które im naywiększą zaletę przynoszą. Życie pełne trudów i przygód, nadaie im wiele doświadczenia, które żywo w swéy pamięci zatrzymuią, a po upłynieniu lat wielu, umieią dokładnie i z szczegółami przypadki życia swego opowiadać.

Stary i doświadczony woiownik *Okrągłym Guzem* w ich ięzyku zwany, przeieżdżał przed kilkoma laty przez osady Europeyskie na granicy prowincyi Amerykańskiéy Jllinois. — Droga iego sprowadziła go do domu starego znaiomego, zacnego człowieka, którego przychylność dla Indian znaną powszechnie była. *Guz okrągły* nabył sławy przez swoią rostropność i doświadczenie, był mężnym w

boiu, celuiącym w myślistwie i w bieganiu, miał przytym kilka żon. (a)

Gospodarz i sąsiedzi cieszyli się mocno widząc znowu swego starego przyiaciela po między sobą, a po zwykłych przywitaniach bawił gość uprzeymego gospodarza wielu ciekawemi powieściami o swoim narodzie, o iego pokoleniach i czynach woiennych.

Gospodyni którą rozmowa taka bawić niemogła, przerwała ią, pytaiąc się: ile ma lat? iak Indianie żyią, iak się noszą ich kobiety, wiele ma żon i t. p. — Odpowiedziawszy na te żapytania zbliżył się do okna i patrzał z taką pilnością na podwórze, iż to zwróciło uwagę gospodyni, która będąc iak to zwykle niemało ciekawą, nieociągała się z pytaniem: co go tak zaięło?— Drzewo, które u was na podwórzu stoi, iak się u was nazywa? odpowiedział Indianin;—Gospodyni: — osiczyna drżąca; — a w waszym ięzyku iak? — Kobiecy ięzyk — powtórzył przebiegły woiownik, zawsze w ruchu, zawsze w ruchu, nigdy niespoczywa!— Odwrócił się potém z uśmiechem przyiacielskim od niéy, zbliżył się do flaszki napełnionéy wódką, (którą niestety! za nadto polubił) popiiał z niéy i dalszą rozmowę z mężczyznami o polowaniu prowadził.

Tenże sam Indianin powracaiąc z osad Europeyskich, wstąpił razu iednego do szynkowni, gdzie kilku nieobyczaynéy czeladzi, siedząc przy cechowym stole, grali sobie w karty. *Guz okrągły* podróżą strudzony, a przytém spragniony dopadłszy rześko puhara, zapomniał o swéy rodowitéy godności i wdał się z graiącemi w rozmowę, którzy rozumieiąc przez to, iż mogą z nim poufale się obchodzić, traktowali go wódką, i postępowali z nim iako z równym sobie. — Niemógł znieść téy zniewagi Indianin, albowiem naylichszy z nich ma się za coś lepszego od pospolitego Europeyczyka. Zażyłość czeladników, wziął więc za urazę, co spostrzegłszy czeladnicy, a niebędąc przytém trzeźwemi, zaczęli go przymuszać do picia z niemi wódki, czego Indianin żadną miarą uczynić niechciał. To było powodem do sprzeczki i kłótni, bo podchmielona czeladź urażoną się bydź przez to sądziła. — Gospodarz w obawie aby po piianemu czeladź niedopuściła się iakiego gwałtu, chciał zaprowadzić Indianina do osobnéy komnaty, i tam go zamknąć, dopókiby tamci nie wytrzeźwieli, lub nieodeszli; lecz ich pogróżki niezdołały zatrwożyć mężnego woiownika. Znał on zbyt dobrze naturę ludzką w dzikim iéy stanie, ażeby mógł wierzyć; iż uydzie niebezpieczeństwa, ieżeli się pustym ludziom na czas tylko wywinie. Zapewniał gospodarza, iż niema przyczyny lękać się o niego, a dziękuiąc mu uprzeymie za okazaną przychylność i troskliwość, powiedział:— „tam gdzie dużo hałasu, tam niemasz krwi rozlewu. Klekotanie właściwe tylko gęsiom i kobietom; mężczyzna więc gdy staie się kobietą, lichszym iest od niéy.”

Tymczasem zaiadła zgraia klęła i szkalowała Indianina obrzydłym sposobem, lecz ten znosił wszystko cierpliwie i milczał. Niepodobna wystawić sobie iak skrytym i cichym iest Indianin, gdy coś ważnego przedsięwziąść zamyśla, i iak niemylnych środków używa wcelu dopięcia celu swoiego. — Nic pogardy iego nieprzewyższa z iaką iest ku temu, kto zapalczywie a na próżno grozi, za wiele o rzeczach rozprawia, nareszcie obiawia głośno przedsięwzięcia swoie, a na niczem kończy. Ich przysłowie w takim razie niesie „kto dużo gada, mało robi.”

Indianin prosił gospodarza aby się o niego uspokoił, gdyż inaczéy rozumiał, iż ta swawolna zgraia nabierze więcéy iescze śmiałości, a następnie, iż zechce obstawać przy swoich gwałtownych zamachach, a przynaymniéy, że mogłaby się chlubić, iż go zastraszyła. — Po nieiakiéy chwili prosi Indianin, aby mu podano deskę, idzie znią do komina i węglami z iednéy strony czerni; czeladnicy uspokoili się tymczasem patrząc co on robić zamyśla, on zaś prosił potém o kawałek białego papieru z którego cel wystrzy-

(a) *Dowód wielkiego znaczenia i bogactw u Indian.*

gnąwszy, na desce przylepił i tak zrobioną tarczę na dworze o drzewo oparł. — Odszedłszy spokoynie o 200 kroków, wziął broń do ręki i krótko celuiąc, ściągnął kurek, a kula przeszyła sam środek celu. Nabił powtórnie i znowu tak trafnie strzelił, iż druga kula w ten sam punkt co pierwsza uderzyła. Gdy potém broń swoią odchędożył i trzeci raz nabił, zwrócił nieznacznie wzrok swóy na biesiaduiących, a poznawszy iakie wrażenie zręczność iego na przeciwnikach zrobiła, pytał gospodarza co sądzi o strzelaniu i czy mniema, że który z sąsiadów wyrównać iest mu w stanie. Po małéy chwili prosił małego synka gospodarza, aby mu przyniosł toporek, gdyż swego niemiał z sobą, a gdy mu takowy podano, posmarowawszy trzonek tłuszczem i posypawszy prochem, rzucił nim z taką mocą i pewnością w slup stoiący, iż się wszyscy zdumieli. „Takie iest staranie Indianina w pokoiu o żonę i dzieci" mówił daléy obróciwszy się do swego wspaniałego przyiaciela: taka ich broń podczas woyny." — Spostrzegł iż sprawił na przeciwnikach swoich żądane wrażenie, ci zaś uznali iż naylepiéy zrobią, gdy na tém poprzestaną.

(Dalszy ciąg późniéy.)

II.

WIERNOŚĆ i PRZENIEWIERZENIE SIĘ.

(Ciąg dalszy.)

Prezydent Haager do nadwornego Radcy Hoeren.

Szwalbach 6 Sierpnia.

Chcesz wiedzieć, co u nas słychać nowego? opowiem ci wszystko. Nayprzód: przybyła tu do nas Matilda *Glorenburg*, ta sławna piękność, która ieszcze z Pyrmontu iest mi znaną, i o któréy iuż ci tyle pisałem. Naydoskonalszy twór, iaki natura kiedy wydać mogła; wszystkich wprawiła w zachwycenie swoią pięknością.

Z męszczyzn zaś przyiechał tu sławny z swoiéy urody *Waller*, który śmiało obok niéy stanąć może; słowem, godni są siebie. Widziałeś go zapewne w Heidelbergu, gdzie wspaniałą postacią i przyiemném ułożeniem, nawet męzczyzn w zadumienie wprawiał.

Toż samo i tu się dzieie; cały Szwalbach temi dwiema osobami zaięty. Damy nie mówią tylko o *Wallerze*, mężczyzni o *Matyldzie*. Dosyć na ten raz, niemam czasu więcéy ci pisać, bo iadę z wizytami; reszta późniéy.

Matilda do Karoliny.

Szwalbach d. 7 Sierpnia.

Już tu od pięciu dni bawiemy, a ieszcze niemiałam swobodnéy chwili. Natręctwa, układne nadskakiwania i wymuszone pochlebstwa mężczyzn, podobnie iak zalotność i afektacya kobiet, mocno mnie oburzaią. Jedyną roskosz iakiéy tu doznaię, iest obecność moiéy dawnéy przyiaciółki, z którą wspólnie wychowaną byłam, a która przed rokiem Hrabiemu *Seeberg* zaślubioną została; iest to żywa, wesoła osoba, któréy dobry humor posępność moią rozpędza. — Dnia wczorayszego wbiega zadyszona do mnie i z żywością powiada, że ziawił sie tu *Amor* w żywéy chodzący postaci; iuż zranił serca wszystkich kobiet, które go widziały, a nawet podstarzałym damulom, zdaie się, że młodociane wrócił im uczucia; słowem przybył tu iakiś cudzoziemiec, nieporównanéy urody i wdzięków. Wyznam ci otwarcie, iż sama z niecierpliwością chciałabym widzieć ten fenomen; ciekawa iestem czyli też wyrówna *Wallerowi*? Bądź zdrowa.

Waller do Delkontego.

Szwalbach d. 8 Sierpnia.

Już czwarty dzień upływa, iak przybyłem do Szwalbach, lecz i tu niepodoba mi się; z sercem zaiętém przedmiotami oddalonemi odemnie, nie wiele uważać mogę na to co mnie otacza, nie wiele z obecnéy chwili korzystać iestem w stanie. Ziechało się tu wielu cudzoziemców, a między innemi i Hrabina *Glorenburg*; widziałem ią wczoray na koncercie nie będąc od niéy widzianym; ia stałem przy samym wey-

ściu, ona zaś od przodu siedziała. Miała Kapelusz z białemi piórami, w którym iéy było do twarzy. Widziałem ią tylko z profilu, bo cała muzyką zaięta była; tą razą przyznam ci się, znalazłem ią daleko ładnieyszą, niż mi się pierwszą razą wydała. Ale powiesz, iż w tak krótkim czasie zmienić się nie mogła; prawda: więc gust móy się odmienił. Boli mnie to, postanowiłem zatém unikać iéy towarzystwa. Nieśmiey się przyiacielu ze mnie, iakiś głos wewnętrzny ostrzega mnie, bym się miał na baczności. Dzisiay Prezydent *Haager* daie bal, niemogłem się wymówić, będę na nim.

Matylda do Karoliny.

Szwalbach d. 9 Sierpnia.

Tylko co właśnie powróciłam z balu od Prezydenta *Haager*. Lecz wystaw sobie *Karolino*! wchodziemy do sali trzymaiąc się za ręce z Hrabiną *Seeberg*, aż ta ściska mnie silnie, trąca i szepcze do ucha: oto ten sam, widzisz go? — w téy chwili spostrzegam młodego piękném postawy młodziana w środku sali, obok Prezydenta. Swiatło rzucało właśnie promienie na twarz iego i dodawało mu piękności. — Przybliżam się nieco, ah co za roskosz, co za podziwienie, poznaię *Wallera*! zadrżały nogi podemną; przeszłyśmy koło niego, ia cała zmieszana skłon łam się grzecznie, on odkłonił się z uprzeymością; — lecz i dziś postępowanie iego było takie same iak w Heinsee: nie tańczył, nie rozmawiał z żadną kobietą, a więc ani ze mną. Jego obecność tak mnie zmieniła, iż prawie pozbawiona przytomności, mechanicznie tylko tańczyłam; nic mnie nie bawiło, wzrok móy *Wallera* tylko śledził. — Raz oczy nasze spotkały się, ale w téy chwili zwrócił w inszą stronę oczy swoie, i odtąd nie widziałam aby patrzał na mnie. W ostatnim walcu, stanęłam właśnie przy bufecie, a będąc zmęczoną i zgrzaną, prosiłam o szklankę limoniady; w tym obiia się cicho o uszy moie głos czarowny: — „strzeż się Pani, to iéy szkodzić może.“ Oglądam się, *Waller* stał przy mnie, iego żywe czarne oczy zwróciły się na mnie; skłoniłam się i postawiłam szklankę, bo zdało mi się, że słyszę rozkazy wyższéy władzy; ah! po cóż ia tu przybyłam, znikła iuż podobno spokoyność moia.

Waller do Delkontego.

Szwalbach d. 17 Sierpnia.

Nieśmiéy się *Delkonti*, wyznaię ci ze wstydem, za ta *Matylda Glorenburg* iuż się dla mnie niebespieczną stała. Lecz iakimże to sposobem? nieraz sam siebie o to pytam. Widziałem ią na ostatnim balu, ubrana była skromnie, ustroiona w Astry; była tego wieczora nader piękną, nader uymuiącą; wszyscy wielbili iéy wdzięki, i ia także; ale serce moie zostało nietkniętém. Dnia onegdayszego znalazłem ią w cieniu drzew ogrodowych, w obięciach matki, z okiem łzą zroszoném, cieszyła ią w chorobie; nayczystsza miłość dziecinna iaśniała na iéy twarzy, głos iéy był uymuiącym; ah! pomyślałem sobie, co za szczęście bydź od takiéy kobiety kochanym. Wczoray spoczywałem na skale, widziałem iak dawszy staruszkowi iakiemuś iałmużnę, sama własną ręką po wązkiéy przeprowadziła go ścieszce. Ta uprzyemość, ta dobroć serca, pociąga mnie ku niéy. *Delkonti!* muszę iéy unikać, powtarzam muszę, *Kornelia* mnie czeka. Wyrachowałem, iż ieżeli po iutrze wyiadę, to właśnie stanę w Rzymie w rocznicę odiazdu mego z tego miasta. Poiutrze opuszczam Szwalbach i *Matyldę*, z ściśnioném sercem to prawda, — lecz tak bydź musi koniecznie.

Waller do Delkontego.

Szwalbach d. 25 Sierpnia.

Już ósmy dzień upływa iak do ciebie pisałem, a ieszczem tutay, ieszcze iestem iakby przykuty na mieyscu, gdzie każda chwila pobytu iest z méy strony zbrodnią. Znam to a przecież nie mam siły oderwać się i uciekać. O *Delkonti*, cóż to ztego będzie? ale posłuchay iak to było: — Postanowiwszy opuścić Szwalbach, udałem się na przechadzkę, gdzie było zebrane licz-

ne towarzystwo. *Matylda* należała do niéy, siedziała właśnie z swą matką otoczona gronem młodzieży; przybliżam się i po pierwszém przywitaniu zgromadzonych osób, rzekłem głośno do iednego ze znaiomych mężczyzn: — „Jutro wyieżdżam." — To mówiąc spoyrzałem niechcący na *Matyldę*, twarz iéy w téy chwili śmiertelna pokryła bladość, zwróciła ią ku mnie z wyrazem pełnym boleści; oczy iéy łzami przepełnione zostały; w tey więc chwili zmieniłem plan odiazdu i postanowiłem zostać, bo zdawało się, że *Matylda* mnie kocha, i to mnie pochlebiało. — Tym czasem rozmawiałem z obecnemi mężczyznami, którzy namawiali mnie koniecznie, aby ieszcze pozostać; — „więc zostanę" rzekłem; — to mówiąc spoyrzałem znowu nieznacznie na *Matyldę*: O *Delkonti!* niezapomnę nigdy weyrzenia iéy na mnie. Cały wieczór była potém *Matylda* nadzwyczaynie wesołą, ia byłem szczęśliwy. Widuię ią co dzień, siadamy na iednéy ławce, i rozmawiamy z sobą: dotąd ieszcze usta moie niewymówiły tego słowa *miłość*, lecz oczy moie iuż mnie zdradziły. Nieposuwam daleko śmiałości moiéy, naywięcéy kiedy ią wezmę za rękę, a przecież wtenczas kochany *Delkonti*, czuię ile od niéy iestem kochany. — Od chwili, iak serce moie sprzyiać zaczęło *Matyldzie*, niemogę się zdobyć na list do *Kornelii*. Tak upływa dzień po dniu... ah co na to *Kornelia* co powiedzą rodzice moi! — Nad tem często przemyślam, a myśląc kładę rękę na sercu iak gdybym chciał oddalić z niego miłość moią dla *Matyldy*; lecz czuię że ona iest mocnieyszą nademnie, bo utrata *Matyldy*, pozbawiłaby mnie szczęścia i spokoyności na zawsze. Cóż to ze mnie będzie!... nieodbierzesz listu odemnie, aż w tenczas, gdy stanowczego chwycę się przedsiewzięcia; nim to nastąpi, żegnam cię tym czasem.

Matylda do Karoliny

dnia 26 Sierpnia

Jestem szczęśliwą a przecież nieszczęśliwą. Tak iest przyiaciołko! szczęśliwą bo mnie kocha *Oskar*; nieszczęśliwą bo odgaduię tylko uczucia iego dla mnie, usta iego niewymówiły tego ieszcze. Cóżby go wstrzymywać mogło? Jestże miłość iego fałszywa, lub iestże iuż zaiętym inną? — Jedno i drugie byłoby dla mnie straszliwym ciosem. *Karolino!* lękam się; iestem zgubiona! Wzburzone uczucia, niedozwalaią mi więcéy pisać: poprzestań na tych kilku wierszach i kochay *Matyldę*.

Waller do Delkontego

Szwalbach d. 3 Września.

Straszliwa walka iuż pokonaną została, przemogła powinność. Tak iest *Delkonti*, postanowiłem niezbędnie opuścić *Matyldę* i zrzec się iéy na zawsze. — Z zbolałem sercem odstąpiłem tego, co szczęście całego życia moiego stanowi, ażeby powrócić do tego co iest prawem, choćby takie poświęcenie się śmiercią przyszło przypłacić. — *Kornelia* będzie moią żoną, *Kornelia!* u nóg któréy świętą zaprzysiągłem wiarę; wiarę błogosławieństwem rodziców moich uświetnioną. — Stało się! straciłem iuż na zawsze szczęśliwość moią, *Matyldę!* — O Boże! nie mogę pomyśleć o niéy bez rozpaczy, a przecież iutro wyieżdżam. Gdyby przynaymniéy minęła iuż chwila pożegnania, bydź może, iż iéy nieprzeżyię, bo zkądże wziąść tyle odwagi, tyle mocy? — Nieżąday odemnie obrazu téy okropnéy sceny; — z Rzymu dopiero pisać do ciebie będę.

Matylda do Karoliny

dnia 7 Września.

Niemasz wyrazów kochana przyiaciołko, które by ci boleść moią dostatecznie skreślić zdołały. — *Oskar* iuż odiechał, iuż go niemasz! z nim znikło szczęście, spokoyność, roskosz i wszystko! Porzucił mnie na zawsze, a ia ieszcze żyię? — Przed trzema dniami i o godzinie o któréy zwykł był przychodzić, czekałam na niego z niecierpliwością; wieczór był ciemny, powstała burza i biła w okna pokoiu moiego; wybiła właśnie godzina wpół do 10téy, gdy w tém, *Oskar* pomie-

szany i wzruszony wchodzi do mego pokoiu. Niemiałam tyle odwagi aby go zapytać, co mu iest; niewzruszona siedziałam na mieyscu, on zbliżył się do okna i rzekł przerażaiącym głosem: — „Okropna iest na dworze burza, ale w sercu moiém iest ieszcze straszliwsza.“ — *Oskarze!* zawołałam z boieścią.— On upadł do nóg moich i pochwycił mnie za rękę, którą łzami swemi zrosił. Pierwszy raz w tenczas uchwyciłam go za szyię, on uściskał mnie, i ręce moie do swoiéy przycisnął piersi. — „*Matyldo!* przemówił głosem przyciśnionym, kocham cię bez granic, ale opuścić cię muszę. Niepytay dla czego, lecz wierzay że inaczéy bydź niemoże!“— Zdrętwiałam na te słowa, on trzymał mnie w obięciu swoiém, ia go nawzaiem; zdaie się, że niebyło w mocy moiéy oderwać się od niego. W tym uderzyła dziesiąta, wzdrygnął się cały, a żałość moia dotąd ścieśniona, w potok łez zamieniła się w téy chwili. Płakałam oparta na iego ramieniu, on całował drżące usta moie; lecz niebawnie puścił mnie z rąk swoich, upadłam na krzesło, on przyciskał me ręce do ust swoich bez pocałowania; byłam słabą, zdawało mi się że to sen! — „*Matyldo!* raz ieszcze zawołał głosem wskróś mnie przenikaiącym, zapomniéy o mnie, bym ia sam tylko był nieszczęśliwym.“ — To wyrzekłszy raz ieszcze pocałował mnie w rękę, i szybkim krokiem pośpieszył ku drzwiom, pierwéy pociągnąwszy za sznórek od dzwonka, który do pokoiu moiéy pokoiowéy wychodził. — Widok oddalaiącego się *Oskara* nowéy dodał mi siły: — „*Oskarze!* zawołałam wyciągaiąc ręce ku niemu, *Oskarze* kochany, nieopuszczay mnie! — Niemógł przenieść na sobie tego głosu boleści, powrócił do mnie, raz ieszcze przycisnął mnie do łona swoiego, i cichym głosem wyrzekłszy imie moie, zniknął szybkością błyskawicy. — Widziałam iak uchodził, lecz nic więcéy; gdym przyszła do siebie, znalazłam się w ręku kochanéy matki, wśród panien służących, i kilku domowników o los mόy stroskanych. Uspokoiłam wszystkich przyszedłszy do siebie, niespodziewane omdlenie mniéy znaczącéy, przypisuiąc słabości. Lecz trudno pokryć boleść, która mnie wewnątz trawi, iestem cała osłabiona, smutna, wynędzniała. Moia matka która iuż zupełnie przyszła do zdrowia, przypisuie to chorobie, i sądzi, że inne klima i rozerwanie myśli zdoła mnie uzdrowić. Namawia mnie abym iechała do Włoch z Hrabiną *Seeberg*, która do Rzymu udać się zamyśla; lecz niemasz dla mnie lekarstwa kochana *Karolino!* niemówię nic nikomu o tém; serce tylko moie i ty druga, posiadacie całą taiemnicę.

(Dokończenie w przyszłym Nrze.)

III

O UCZENIU SIĘ ROLI.

W Dzienniku Paryzkim, maiącym tytuł: *Kuryer Widowisk*, czytamy artykuł, o uczeniu się roli; zawiera on ogólne uwagi, które mogą bydź użyteczne dla artystów każdego kraiu.

Niedosyć iest umieć rolę na pamięć: gdyby bowiem sama pamięć była dostateczną do dobrego odddania roli w Tragedyi, lub Komedyi, mnieyby się uskarżano o brak dobrych aktorów. W trudnéy zaiste sztuce deklamowania, która mały ma przedział od miernéy, do nayniezno śnieyszéy gry; wielce są potrzebne wiadomości naybardziéy urozmaicone i rozciągłe; nauki, które chociaż się mały zdaią mieć związek z Teatrem, są iednak nieodzownie potrzebnemi, dla tych, którzy chcą zasłużyć na prawdziwe imie Artysty. W Paryżu *Clairon Dumenil, Barone* i *Lecain*, którzy prawdziwie zasłużyli na to piękne imie, nie uważali siebie za zupełnie doskonałych. Od tego czasu, iak zakazano iest artystom czynić własne w roli dodatki do teatru dzieł, które przedstawiaią, trzeba im mniey mieć dowcipu, niż pierwsi Włoscy komedyanci przybyli do Francyi, pod panowaniem Henryka IV, Ludwika XIII i Ludwika XIV, którzy zaięci tylko samą treścią sztuki, przez dodanie lub uięcie zdań, często przekształcali myśli autora

i improwizowali. Dowcip ich teraz powinien się tylko ograniczać na wierném oddaniu uczuć, które autor nadał osobie maiącéy bydź wystawioną: by więc dovść do tego, potrzeba bydź obdarzonym, przymiotami fizycznemi i moralnemi, których uczenie się na pamięć nie nadaie, nauka tylko i zgłębienie mogą ie wyrabiać. — Wielkie role możnaby podzielić na dwie klassy: na te, które są portretami osób, iako należące do historyi, i na te, które będąc obrazami, składaią się z rysów, tu i owdzie rozsianych, wziętych w naturze, i połączonych w iednéy osobie: takiemi są w ogólności komedye charakterystyczne. Jeżeli autor, musiał się uczyć rozpoznawać ludzi, dla nadania im właściwéy mowy, taż sama nauka potrzebną iest i aktorom, chcącym godnie wystawić charakter iakiéy osoby. Jeżeli idzie o osobę historyczną, to iest: a mnóstwo rzeczy zewnętrznych, iéy właściwych, których autor niemogąc wydać, zostawił, aby to biegły aktor iéy wrócił. Zdaie się że wielka rola, tém ma bydź dla aktora, czem obraz dla malarza: szczególne przymioty po ogólnych, wykonanie po zamyśle nastąpić powinny. Jeżeli aktor iest uderzony położeniem, lub stanem osoby, którą wystawia, ieżeli dokładnie rozpoznał i ocenił otaczaiące go okoliczności; ieżeli, że tak powiem, zapomniał o sobie, żeby żyć w tym, kogo wystawia przez kilka godzin; ieżeli nie przybrał maski, lecz namiętności wystawianey osoby; ieżeli się przeiął położeniem iéy czynném lub bierném; ieżeli przyswoił i przywłaszczył, że tak powiem iey władzę, przeiął się całém położeniem; ieżeli nienawiść lub miłość, zazdrość lub zemsta, stały się mu właściwemi; ieżeli rozważył charakter osoby, nietylko przez niego wystawianéy, lecz i osób, które ią otaczaią, i iaki maią wpływ na wykonanie akcyi: *w tedy iest czas wziąść rolę, i uczyć się iéy na pamięć.* Jeżeli się oswoił z historyą *Nerona*, wtenczas piękne wiersze *Rasyna* bez trudności wyryią się w pamięci, bo iuż się wie i czuie, co one wyrażaią; odbywaią się tylko działania mechaniczne, i sam aktor wpada w omamienie, łudzą wszystkich, zadziwia i unosi nayoziembleyszych słuchaczów: sprowadza przed oczy nasze owych wielkich Rzymian; zapominam że iestem na widowisku scenicznem, a widzę *Nerona*, *Agripina*, albo *Brytannika*, a znayduie się w Rzymie. Wtenczas aktor trudni się prawdziwie sztuką, inaczéy rzemiosłem.

IV.

Liczba Siedem względnie życia ludzkiego.

Niemożna powiedzieć, aby liczba *Siedem* oboiętną była, bo w życiu naszém, przez *Siódemkę* wznosiemy się i upadamy. — W siodmym miesiącu pierwsze wyrzynaią się zęby; w siódmym roku drugie następuią. — W latach dwa razy po siedem (14) zaczyna się wiek męzki; do trzy razy lat siedem (21) rośniemy, a w cztery razy siedem (28) ciało nasze zupełnéy nabiera siły. Gdy upłynie pięć razy lat siedem (35) umysł i ciało nasze do doskonałéy przychodzą iuż doyrzałości. — Ale lat sześć razy siedem, (42) daią początek ułomności, która pod różnemi postaciami w różnych częściach budowy naszéy, ziawiać się natenczas zwykła; a w siedem razy tat siedem (49) widocznie się rozwiia. — Lat ośm razy siedem, czynią 56ty roczek: iuż w tenczas niezwykliśmy się zapierać że starsi iesteśmy, a gdy dziewięć razy siedem (63) nadeydzie, i zmarszczkami ciało nasze zredli, iuż w tenczas staiemy na właściwym kresie przeznaczenia naszego, albowiem dziesięć razy lat siedem, (70) iuż tylko cień zostawiaią tego, czem byliśmy w wieku trzy lub cztery razy lat siedem.

V.

Zdania Jenerała Rostopczyna wyrzeczone w Paryżu.

Gdy się go pytano, co naywięcéy podoba mu się w Paryżu, rzekł: „Kolonada Louvru i Potop świata, obraz Pous-

syniego.“ Innym razem mówił znowu: „W Paryżu trzem niebezpieczeństwom trzeba uchodzić z drogi: prędkim kabryoletom, poczynaiącym duchom pięknym, i pisemnym zaproszeniom dam, kiedy nie ortograficznie pisane.“ — „*Talma* iest malarzem Atrydów, Panna *Mars* czarodzieyką Sekwany, *Potier* lekarzem hipokondryków.“ — „W *Theatre Français* usłyszeć można zdania Francuzów, na Operze poznać smak ich, a na Vaudevillach ich charakter.“ W.

VI
U C I N K I.

Szczęśliwy Mąż.

Czy znasz piękną Kleonę, ta gdy rzeknie słówko,
Powabnie się uśmiechnie, słodko ruszy główką,
I oczęta przymili i głosek złagodzi;
Temu, co ią posiada, zazdrościć się godzi;
Bo wieleż w iéy osobie posiada słodyczy?
Kleona wszystkim luba, wszystkim dobrze życzy;
Tylko iednego człeka w świecie znieść nie może;
Nieraz mówi: „Jak srogoś mnie skarał mój Boże!“
Patrząc na niego, ledwo gniew swój przezwycięża! —
Kogoż to tak niecierpi? — Łatwo zgadnąć: Męża! —

A... —

Na Józefa

Józef, który poetą słynie między nami,
Co się zawsze tak chelpi swoiemi wierszami,
Wciąż mi tylko odradza, gdy dzieła kupuię,
Mówiąc do mnie: chcesz wierszów? dam ci przyiacielu;
Lecz zgadniycie, to czyniąc, co on ma na celu?...
Chce, bym się niedowiedział — z kąd ie wypisuie.

Samobóystwo grzechem.

Zkądto pochodzi między Doktorami,
Że, gdy są chorzy nie leczą się sami?...
Z tąd przyiacielu — rzecze ktoś z uśmiechem,
Że samobóystwo iest grzechem.

W. Ch.

VII.
A N E G D O T Y.

Pewien pochlebca chcąc się z otwartości poszczycić, zapewniał: że zawsze serce iego iest na końcu ięzyka. — Uważałem ia to dobrze, rzekł ktoś z boku, — że nie iest ono na swoiém mieyscu.

O pewnéy młodéy damie, która się mocno rostyła i niemało przez to postradała wielbicieli, pewiedziała druga: rozszerza się biedna, bez zatrzymania zdobyczy swoich.

Polak spotkawszy raz cudzoziemca, piechotą i z mantelzaczkiem na plecach wychodzącego z Warszawy, zapytał: — „Gdzie WPan idziesz?“ — „Przepraszam Mości Dobrodziei, (odpowie urażony woyażer) ia nieidziem, ale wędruiem.“

Pani *Geoffrin* interesowała się mocno za uczonym Francuzkim *Suard*, gdy ieszcze był młodym i pracowitym, ale ubogim. Za iéy staraniem przedstawiono go pewnemu znakomitemu dygnitarzowi, który w pierwszéy wizycie dość ozięble przyiął filozofa. Urażony *Suard* powraca do Pani *Geoffrin* i oświadcza: że więcéy nogą niepostanie w domu owego magnata. — Ah Mospanie! rzekła z żywością Pani *Geoffrin*: — kto niema koszuli na ciele, niech zapomni o dumie; — Właśnie przeciwnie, (przerwał iéy *Suard*) dumnym być wypada temu, komu za położone zasługi nagroda zalega.